

0 brytyjskich geniuszach, bankach i Labour Party

7 października 2018

Artykuł powstał między 6 a 7 odcinkiem „Angielskiego snu”.



Wróciłem z urlopu. Natychmiast sprawdziłem czy widok na High Street nie uległ zmianie, wszystko było na swoim miejscu. Rozpoznałem kilku stałych przechodniów, najbardziej jednak ucieszyło mnie że Janny's Café wciąż jest na swoim miejscu. Tęskniłem za ich sadzonymi z frytkami. Teraz kilkanaście dni ponownej aklimatyzacji i wrócę do brytyjskiej codzienności. Przywykłem już do tego rytmu i odnajduje tu coraz więcej zalet. Cytując jednak klasyka: „Jedziemy do kraju kapitalistycznego, który ma tam swoje plusy. Rozchodzi się o to, żeby te plusy nie przesłoniły nam minusów”.

Więc teksty pochwalne zachowam na emeryturę, a teraz – jak zawsze przejadę się po lokalnych absurdach. Tak naprawdę w tym kraju nie trzeba mieć mózgu Bernarda Shawa, słynącego z krytycznej kpiny angielskiego stylu życia, nie trzeba być Monty Pythonem, by obśmiać tutejszą codzienność.

Wiem, wiem, zaraz zostanę uznany za ignoranta, który nie rozumie subtelności i drugiego dna autorów „Sensu Życia”,

„Świętego Graala” i kilkunastu innych, średnio śmiesznych filmokabaretów. Muszę was jednak zmartwić, Monty Python drugiego dna nie posiada, a ten „wyższośrodowiskowy” zachwyt spowodowany jest oryginalną modą. Niczym więcej.

Jedno z pierwszych zdań podczas imprezy czy spotkania pseudointelektualistów – choć wolę określenie kabotyn – brzmi: „Uwielbiam Monty Pythona”.

Prawdę mówiąc jedynie „Świętego Graala” udało mi się obejrzeć i nie zasnąć, a od tych brytyjskich komików zdecydowanie wolę stare odcinki „Kiepskich” – chociaż tam irytuje mnie dodawany w tle śmiech i to w miejscach, które akurat śmieszne nie są. W mojej subiektywnej ocenie zakwalifikowałbym ich na poziomie innego brytyjskiego komika Benny Hilla – którego popularność była tak olbrzymia, że w ramach resocjalizacji administracja więzienia umożliwiła oglądanie tych programów więźniom. Nie spodziewali się jednak, że zwykła awaria telewizora podczas programu komika doprowadzi do więziennego buntu.

Wielka Brytania wydała jedynie dwóch (O. Wilde i G.B. Shaw) – choć nie do końca Wielka Brytania, ale do tego jeszcze dojdziemy – którzy w sposób genialny kpili potrafili wykpić ten kraj, monarchię, rodzinę królewską i przywary Brytyjczyków. A jedyny człowiek, który ewidentnie zakpił i wyszydził angielską naukę to Issac Newton. Ten wybitny fizyk, tak naprawdę fizyką niespecjalnie się interesował. Zajmował się nią na odczepnego. Był przede wszystkim alchemikiem, a wszystkie zasady dynamiki wymyślił i zdefiniował na odczepnego, żeby królewscy przedstawiciele nauki odczepili się od niego i pozwolili w spokoju pracować nad kamieniem filozoficznym.

Przeciętnie wykształcony Anglik zapytany o brytyjskich pisarzy, jednym tchem wymieni Shakespeare’a, Wilde’a, Shawa, Dickensa, Conrada i Orwella. Joseph Conrad był jednak Polakiem, Georg Orwell – Hindusem, Wilde i Shaw byli Irlandczykami. Jedynie BOZ – pseudonim literacki Dickensa –

był Anglikiem. Wiele osób zapewne uśmiechnie się z tego nieuctwa wyspiarzy, pozwolę sobie jednak przypomnieć, że również w literackim panteonie polskich poetów czy pisarzy jednym tchem – i to na pierwszej pozycji wymieniamy obywatela Litwy – Adama Mickiewicza.

Dotychczas, przez pół roku mojej tutaj pracy poznałem tylko jednego Anglika, który wiedział kim był Oscar Wilde i co napisał. Przegadaliśmy kilka godzin o Dorianie Grayu, Bazylu i lordzie Henrym – byłem naprawdę pod ogromnym wrażeniem.

Od pół roku, czyli od momentu gdy zacząłem w UK pracę, usiłuję założyć konto angielskim w banku.

Bez rezultatu. Obeszliśmy z kolegą wszystkie możliwe placówki i nic. Miałem ze sobą stos dokumentów i zaświadczeń. Najważniejszy brytyjski dokument czyli National Insurance Number (NIN), który poświadczał również mój adres zamieszkania, zaświadczenie z pracy, że pracuje w systemie full time – pełny etat, czek, na których również był adres pod którym mieszkam – i nic. Wszędzie nas zbywali. Tłumaczyłem im, że nie chcę żadnego kredytu, żadnej karty debetowej, a jedynie rachunek, na który będzie wpływała moja wypłata.

Gdy wreszcie w jednym z banków umówili się na rozmowę i powiedzieli, że dokumenty te są wystarczające, pojechaliśmy tam pełni nadziei, że wreszcie uda się to konto założyć. Podczas rozmowy pani konsultantka zażądała potwierdzenia adresu od mojego kolegi. Wprawilo nas to w osłupienie i wściekłość. Trzasnęliśmy drzwiami i opuściliśmy placówkę. Wszędzie domagali się dokumentu, którego świeży emigrant nie jest w stanie zdobyć – potwierdzenie adresu na podstawie opłaconego imiennie rachunku z instytucji miejskiej czyli z councilu.

Na samym początku firma przysyłała mi czek, których realizacja była bardzo kosztowna. Ponad 10 procent. Z 220 funtów zarobionych przez pierwszy tydzień treningu, realizując

czek w money shopie zapłaciłem 25 funtów prowizji.

Wymyśliliśmy więc, że moja wypłata będzie wpływać na konto znajomych. Rozwiązanie dobre, ale tylko na krótką metę. Po pierwsze sprawiam kłopot ludziom, których bardzo lubię, a po drugie staram się teraz o dodatek dla najsłabiej zarabiających. Kwota niebagatelna – 218 funtów miesięcznie. Koleżanka wrzuciła moje dane w specjalny szablon i wyskoczyło, że jak najbardziej się kwalifikuję. Pieniądze te znacznie podniosłyby mój komfort mojego życia. Ale żeby je dostać trzeba mieć własne konto.

Czego nie udało się załatwić w Anglii, załatwiłem w Polsce. Poszedłem do pierwszego lepszego banku, powiedziałem o co mi chodzi, a pan, zwany fachowo doradcą klienta, w ciągu pięciu minut założył mi brytyjskie konto. Kartę wydał od ręki, zarejestrował, sam wymyśliłem sobie PIN i tym sposobem załatwiłem sprawę, która w Zjednoczonym Królestwie była nie do załatwienia.

Dzisiaj w nocy idę do pracy, pierwszy raz po urlopie. To zwykle najgorszy dzień. Postaram się jednak jakoś go przetrwać. Wcześniej jeszcze spędzę dwie godziny w centrum handlowym w towarzystwie milczącego Hiszpana, wypije espresso, a potem poczępiemy do naszych hał.

Mieszkając jeszcze w Luton znalazłem tam siedzibę Labour Party. Już sam budynek świadczy o angielskiej lewicy. Pozabijane dechami główne wejście, a pozostałe pozamykane na głucho. Wewnątrz tej „lewicowej” partii trwa wewnętrzna wojna pomiędzy Jeremym Corbynem – człowiekiem, który rozumie, czym jest lewica, a liberałem odpowiedzialnym za zbombardowanie Jugosławii i bezpodstawny atak na Irak – Tonym Blairem – zamożnym przedstawicielem klasy średniej, którego wpływy w ugrupowaniu labourzystów są nadal ogromne. Sam Blair przyznał, że przyłączył się do antyirackiej koalicji w oparciu o dokument przygotowany przez amerykańskiego studenta.

Pamiętam euforię polskich środowisk lewicowych, gdy Blair wygrał wybory i został premierem. Pamiętam jak sam w 1996 lub 1997 roku, podczas pierwszomajowej demonstracji niosłem transparent: „Good luck Tony Blair”.

Do tej pory mam kaca. Niespełna dwa lata po objęciu teki premiera Wielka Brytania była jednym z głównych agresorów w dawnej Jugosławii. To właśnie samoloty RAF-u zmiotły z powierzchni ziemi większość budynków mieszkalnych w Belgradzie. Polska telewizja była tak zaangażowana w ten konflikt, że w kółko opowiadała o tzw. higienicznych lub chirurgicznych bombardowaniach, których celem, były ponoć jedynie cele wojskowe.

Akurat byłem tam podczas tej higienicznej masakry. Żadna ze stacji nie wspomniała o tym, że jeden z pocisków trafił w polską ambasadę, że zbombardowano budynek stacji telewizyjnej RTS, w którym zginęło szesnastu młodych pracowników technicznych. Gdy świat trąbił, że chirurgiczny atak przypomina skalpel w reku pijanego w sztok lekarza, a bomby i rakiety co chwilę spadały na szkoły, żłobki czy szpitale, natychmiast polska telewizja dorabiała teorię, że w podziemiach tych budynków była siedziba Slobodana Miloševicia albo Ratko Mladicia czy Radovana Karadžicia.

Dziwiło mnie też, że kamery operatorów – tak chętnie filmujących samoloty F-16 – pominęły stojące obok samoloty Luftwaffe, których symbolem były czarne krzyże na skrzydłach (była to pierwsza interwencja zagraniczna Bundeswehry od 1945 roku). To był nieprawdopodobny widok, gdy eskadra takich bombowców przelatywała nad Belgradem i zrzucała wybuchowe ładunki.

Wracając jednak do tych „ukrytych pod dziecięcymi respiratorami bunkrów sztabowych”. Po pierwsze, żadnych sztabów tam nie było, a po drugie rakietą, która miała zniszczyć ten tajny bunkier serbskiego sztabu, musiała wcześniej przelecieć przez kilka szpitalnych sal i kilkanaście

dziecięcych respiratorów – z czego zdjęcia zamieściłem oczywiście w książce. Książce, która o dziwo, znalazła się w zbiorach Brytyjskiej Biblioteki Narodowej. Wyobrażam sobie miny moich przełożonych, gdyby dowiedzieli się, że książka którą napisał klinier zasuwający z mopem po hali, leży sobie na półce obok dzieł Williama Shakespeare’a, Oscara Wilde’a, czy G.B. Shawa. Na szczęście jeszcze nie wiedzą. A wracając do Labour Party – kibicuję owszem Corbynowi, ale po nauczce jaką dostałem od Blaira, kibicuję mu asekuracyjnie. Poniżej zamieszczam zdjęcia siedziby Laburzystów w Luton.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info